Dodatek do Nr. 28 „Prawdy".

RODZINA

PISMO POŚWIĘCONE WYCHOWANIU I NAUCE DOMOWEJ.

Numer 14. Niedziela, dnia 9-go Lipca. Rok 1911

BOŻEK MILION.

Powieść przez Waleryę Marrene (Morzkowską).

(Ciąg dalszy.)

— I cóż? — zapytał w końcu hrabia Feliks, nie mogąc się doczekać zdania mecenasa.

— Nie będę taił, że sprawa ta jest złą bardzo; strona przeciwna ma niezawodnie wszystkie dowody w ręku, a w takim razie....

— Tego nie wiemy jeszcze na pewno.

— Dla mnie nie ulega to żadnej wątpliwości; za rękojmię w tej mierze wystarcza mi samo imię obrońcy synowca pana hrabiego. Jest nim pan W., on nie podjąłby się sprawy, o której słuszności nie byłby przekonanym.

Ironiczny uśmiech przemknął po wąskich ustach hrabiego.

— Czy przekonanie jego nie mogłoby uledz odmianie, — zapytał z przyciskiem, wpatrując się znacząco w oczy mecenasa.

Ale ten wzruszył ramionami.

— Nie znasz go hrabia, — odrzekł tylko, — jak widzę nie słyszałeś nawet o nim.

— I owszem i owszem; ale zazwyczaj te wszystkie głośne cnoty w rezultacie okazują się najkruchsze.

W obecnym położeniu mecenas uznał za stosowne wziąć ten frazes do serca, jako osobistą obrazę.

— Daruje pan hrabia, — wyrzekł zimno, — że nie mogę w tym względzie podzielić jego zdania.

Więc już ludzie pozwalali sobie nie iść w takt za myślą hrabiego! Ten drugi symptomat wydał się Horeckiemu bardziej jeszcze znaczącym niż inne; fortuna jego chwiała się wyraźnie.

Chwilę trwało milczenie. Hrabia myślał nad tem co mu dalej czynić wypada; mecenas przypominał sobie, że był przyjacielem ojca Kiljana, że przeciwko synowi przyjaciela występować mu się nie należy. Budziło się w nim delikatne sumienie uczciwego człowieka, który w żadnym razie nie powinien bronić złej sprawy.

— Panie hrabio, — wyrzekł po chwili z wymówką prawie, — trzeba było koniecznie ułożyć się z synowcem, i nie dopuszczać tego gorszącego procesu.

Wyrażenie było silne. Horecki niecierpliwie poruszył się w fotelu.

— Wszakże pan sam czyniłeś mu propozycye w tym względzie.

— Warunki, jakie mu pan hrabia podawałeś, były za twarde, trzeba to przyznać; odrzucił je z dumą człowieka pewnego, że posiędzie wszystko.

Te słowa zabrzmiały przykro w uchu hrabiego.

— Zapominasz pan, żem ja sam nie miał pojęcia o istnieniu dowodów jego urodzenia, a tem samem nie mogłem uważać go za należącego do rodziny mojej.

Próbował on w ten sposób utrzymać jako tako rolę swoją do końca. Ale spotkawszy wzrok mecenasa, umilkł, czując, że wymowa jego była zupełnie daremną.

— Jednak za życia hrabiego Juliusza nie powątpiewałeś pan o tem nigdy, — pochwycił prawnik złośliwie, mszcząc się tym sposobem za wszystkie podłostki, jakie kiedykolwiek dla niego popełnił.

Rumieniec gniewu przemknął po licu hrabiego; ale obrazę swoją połknąć musiał, bo mecenas był mu potrzebnym, a w czasie długiego życia Feliks Horecki nauczył się nie gniewać nigdy na ludzi, którzy mu się przydać mogli.

— Więc pan uważasz, — wyrzekł po chwili, cofając daleko rozmowę, — że niczem nie można sobie zjednać obrońcy strony przeciwnej?

— Niczem na świecie, panie hrabio.

— Nawet największą ofiarą, — wycedził Horecki, wpijając oczy w twarz prawnika.

— Ofiary podobnej nikt nie będzie śmiał mu uczynić nawet.

— Ba, — wyrzekł hrabia, z nawyknienia powracając do dawnego cynicznego tonu, — wszystko da się powiedzieć; tylko głupiec naraża się na odmowę, i czyni propozycye w sposób obrażający lub nie dający się dwuznacznie wytłómaczyć. Czyż dokumenta, na których opiera się ta przeklęta sprawa, nie mogą być podrobione? czy nie nadużyto łatwowierności nawet pana W.?, bo zdaje mi się, że tak nazwałeś pan naszego przeciwnika. Czy nie oddanoby jemu samemu przysługi, wyświetlając mu prawdziwy stan rzeczy?

Prawnik wstrząsnął głową.

— To się na nic nie zda, — odparł sucho; — przenikliwość jego równa się jego prawości, to dość powiedzieć. Choć młody jeszcze ,zdobył on sobie tak wysokie stanowisko, że największe powagi nasze zasięgają rady jego.

Hrabia słuchał tych pochwał z widoczną niecierpliwością. Wiedział aż nadto, że na drodze prawnej ruina jego jest nieunikniona; że jedyną nadzieją jaka mu zostawała, było ugodzenie się jakim bądź kosztem z adwokatem Kiljana lub z Kiljanem samym. A tak był zaufanym w zręczność własną, czy też w głupotę i podłość ludzką, że ostatecznie jeszcze nie upadał na duchu; a chociaż rozmowa z prawnikiem o wiele zmniejszyć mogła jego nadzieje, przecież uwierzyć jeszcze nie mógł, by położenie jego było bez ratunku.

Po pierwszem wrażeniu, jakie pozwy Kiljana zrobiły, wszystko w pałacu jego stryja wróciło na pozór do normalnego stanu. Hrabina nie rozumiała nawet, że byt ich wszystkich był zagrożony. Amelia spoglądała na toczące się wypadki ze spokojem istoty, która już straciła wszystko i niczego spodziewać się nie może. Tylko hrabia Feliks z Wilhelmem zamieniali ponure spojrzenia. Zwolna też poza sfery sądowe przeciskały się głuche wieści o skandalicznym procesie, wytoczonym jednemu z członków najwyższej arystokracyi. Rodzina księżniczki Stefanii odwlekała ślub jej z młodym Horeckim pod błahemi pozorami, kryjącemi rzeczywiste wyczekiwanie, jak obróci się pomiędzy stryjem a synowcem sprawa, którą sądy ujawnić i rozstrzygnąć miały.

Na poddaszu Kiljana nic nie zmieniło się także, i niktby nie odgadł, że ci ludzie pracujący na chleb powszedni, toczyli sprawę o milionowy spadek; mąż i żona mało nawet mówili o nim, i nie czuli się w prawie żyć na rachunek przyszłości. Zresztą ten wielki majątek mógł przynieść im materyalny spokój, ale nie mógł powiększyć szczęścia, jakie znajdowali jedno w drugiem. Cecylia nawet lękała się tej sprawy, która rozżarzyć miała tyle nienawiści przeciwko Kiljanowi. Ale on nie zważał na to, i szedł niezachwianą drogą swoją, nie bacząc na sądy, potępienie, pochwały, lub zemstę czyją.

W obrońcy swoim znalazł niespodzianie przyjaciela i sprzymierzeńca, co był w stanie go zrozumieć, a sprawę jego prowadził z zaciętością człowieka, któremu udaje się raz zedrzeć maskę z twarzy i życia jednego z tych światowych zbrodniarzy, wymykających się zazwyczaj wszelkiej sprawiedliwości. Adwokat hrabiego miał słuszność, i dobrze osądził swego przeciwnika; nie było z nim najmniejszej szansy przekupstwa lub podejścia. Hrabia zrozumiał to szybko, bo jakkolwiek pogardzał ludźmi, miał nadto doświadczenia, by nie wiedzieć, że nie ma reguły bez wyjątku. Stosownie do tego zmienił wszystkie plany.

Bądź jak bądź, on procesu i sądu dopuścić nie mógł: trzeba było koniecznie pojednać się z synowcem, chociażby nawet cały majątek oddać mu przyszło. Nienawidził go wprawdzie całą duszą, jak zwykle nienawidzi się tych, którym się krzywdę wyrządziło; ale był zanadto przebiegłym, by rządzić się w sprawach interesowych podobnemi namiętnościami. Trzymał się całe życie maksymy, że gdzie nie można przeskoczyć, tam podleźć należy — i na tej zasadzie począł przypominać sobie charakter człowieka, z którym miał do czynienia. Kiljan był wprawdzie gwałtownym i samowolnym, jak rozpieszczony jedynak; ale też posiadał szlachetność rycerską, i więcej niż każdy inny zdolnym był iść za popędem sercowym, czyli popenić to, co w języku hrabiego nazywało się szaleństwem. Rzeczywiście Kiljan był takim przed laty. Ale w obrachunku swoim Feliks Horecki zapomniał o ubiegłym czasie, zapomniał, że ten czas próby zmienić musiał z gruntu człowieka, który go przetrwał. Zapominał lub też nie chciał o tem pamiętać; bo teraz gdy stracił nadzieję zagodzenia sprawy z obrońcą jego, Kiljan sam był jego jedyną ucieczką. Postanowił widzieć się z nim koniecznie, chociaż rzecz ta łatwą nie była. Nie mógł go wezwać do siebie, bo jakkolwiek czelnym i zuchwałym był magnatem, czuł jednak dobrze, iż Kiljan nie przestąpi progu tego pałacu, z którego został wydziedziczony, chyba gdy napowrót stanie się panem jego. Udawał się z propozycyą osobistego porozumienia do pana W., ale ten w imieniu swego klienta odrzucił ją stanowczo. Pozostawał więc jeden tylko środek; szukania synowca w jego własnem mieszkaniu, a położenie tak było groźne, iż nie zważając na przyjęcie, jakiego doznać może, hrabia zdecydował się na ten krok stanowczy, rachując trochę na niespodziane wrażenie, na swoją zręczność, a nadewszystko na wspaniałomyślność przeciwnika. I upewniwszy się wprzódy o jego obecności, udał się doróżką na Śto Jańską ulicę.

Pierwszyto raz od lat wielu wykwintny starzec znajdował się w tej smutnej dzielnicy miasta; dlatego nie bez pewnego wahania się zapuścił się w ciemny korytarz, wiodący na dziedziniec, w tej chwili zawalony wpół roztopionym śniegiem. Wiedział jednak dokładnie, gdzie miał szukać synowca, bo bez żadnych zapytań wyminął stróża, i spojrzawszy na wysoki balkonik, skierował się w tę stronę. Wchodząc w drzwi sieni, spotkał się z Cecylią. Młoda, szła szybko, uśmiechniona, pogodna, z koszykiem w ręku, widocznie za jakiemś kupnem. Nie zwróciła nawet uwagi na hrabiego, który ustąpił jej z drogi; ale on poznał ją dobrze, i oglądał się za nią z nieopisanym wyrazem.

Opierając się na lasce, z trudnością szedł tak prędko, jak mu tego dozwalała podagra, po stromych i wązkich wschodach. Za każdem przebytem piętrem opuszczała go odwaga. Poczuł zapewne w głębi ducha, że człowiek, co z jego powodu, zamiast wytwornych apartamentów, zamieszkiwał lat tyle poddasza, którego żona w miejsce rozkazywania licznym sługom musiała sama chodzić z koszykiem na miasto, nie będzie mógł mu tego przebaczyć. Doszedłszy już do drzwi samych, zatrzymał się; potrzebował odetchnąć i pokonać mimowolną trwogę, która napastowała go pierwszy raz w życiu. Myśl, że on, hrabia Horecki, może być przyprowadzonym do podobnej nędzy, zmusiła go do próbowania ostatniej deski ocalenia. Chwycił się jej z rozpaczną nadzieją.

Zastukał do drzwi — nie były zamknięte. Otworzył je i spojrzał po izdebce ciekawem niepewnem okiem. Kiljan był sam jeden, odwrócony z czołem wspartem na ręku, pisał coś szybko przy oknie. Słysząc kroki odwrócił niedbale głowę. Na widok przybyłego zerwał się z miejsca, odpychając krzesło na którem siedział nerwowym, gwałtow-

nym ruchem; twarz jego pobladła, a dłoń leżąca na poręczy, drżała jakby w febrze i ściskała ją konwulsyjnie.

Hrabia także nie ruszył się z miejsca, i wsparty obiema rękami na lasce, przyglądał się człowiekowi, którego tak strasznie pokrzywdził, a od którego dzisiaj zależał byt jego, hańba lub dobra sława.

Od dnia, w którym Kiljan opuścił z groźbą na ustach pałac Horeckich, stryj i synowiec nie widzieli się wcale. Wówczas jeden z nich był dzieckiem nieledwie, a drugi w pełni mezkiego wieku. Teraz dziecko stało się człowiekiem, a mężczyzna tak pochylił się ku starości, jak gdyby ten ostatni lat dziesiątek mógł mu podwójnie być rachowanym. Obadwaj mierzyli się wzrokiem przez chwilę; hrabia pytał sam siebie, czego spodziewać się może, Kiljan, jakiem czołem on się tu wejść odważył. Ale pierwsze wejrzenie na tę wysoką, przygarbioną postać, na tę twarz poorana bruzdami podłych namiętności, było mu odpowiedzią; zrozumiał myśli i nadzieje, które tu sprowadziły jego przeciwnika, i szybko uspokoił pierwsze wrażenie. Twarz jego zmieniona przed chwilą, przybrała znowu najniezrozumialszy dla mętnych duchów wyraz spokoju.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

NAJDROZSZĄ PERŁA.

Cudna jest perła, gdy ją ręka Boża
W zamkniętej konsze wywiedzie wśród morzą;
Cenny jest brylant w złocistej koronie
Kiedy monarsze przyozdabia skronie,
I niby głoski sławi wyraźnemi,
Potęgę Stwórcy i tajniki ziemi;
Wzniosły to widok, gdy poranna rosa
W przeczystych kroplach odbija niebiosa
I strojna w barwy podobłocznej tęczy,
O wschodzie słońca bogactwem się wdzięczy.
O! i to piękne, gdy w pogodne noce
Śnieg krociem iskier przed wzrokiem migoce;
Albo przy blasku pogodnego słońca,
Zdaje się sypać brylanty bez końca,
Lecz kiedy czasem w wzruszenia godzinie
Czysta łza z oka ludzkiego wypłynie
I samolubną myślą nie przyćmiona,
Odbije czucie szlachetnego łona
I w świetny brylant przemieni wzruszenie:
Perła to droższa nad wszelkie kamienie,
Rosa to czystsza niż w poranku dobie,
Bo obraz bóstwa odzwierciedla w sobie.
I nad śnieg, bielsza, w swej czystości szacie,
I nad koronę wyższa w majestacie!
Bo taką perłę z największą rozkoszą
Anieli Pańscy z tej ziemi podnoszą;
I w swe przeczyste ująwszy ją dłonie,
Umieszczą w wiecznej zbawienia koronie,
Co swej światłości niezaćmioną siłą
Rozświeci pomrok nad ziemską mogiłą.

E. Leja.

Drobnostki.

Całe życie nasze składa się przeważnie z rzeczy drobnych, nieznaczących szczegółów, powiązanych ze sobą w nieprzerwany łańcuch. I najszlachetniejsze nasze czyny, wielkie i trudne nieraz ofiary dokonywają się na pozór cicho, spokojnie, a nawet dla mniej bacznego oka niedostrzegalnie.

Nie trzeba zatem lekceważyć drobnostek. Mała rzecz może mieć znaczenie doniosłe, może być w skutkach swych fatalną lub błogosławioną.

Cała sztuka obcowania z ludźmi, oparta jest na pewnych prawidłach, których nie wolno nam lekceważyć bez zwrócenia na siebie ostrej krytyki. Nie jest rzeczą obojętną, jak się kłaniamy, jak witamy osobę starszą i poważną, albo młodszą, albo równą nam, nie jest bynajmniej rzeczą małą, jak mówimy, czy poprawnie i elegancko, czy gminnie i pospolicie — i bynajmniej nie wszystko jedno, jak się zachowujemy przy jedzeniu, jak trzymamy nóż i widelec i łyżkę i t. d. Same drobnostki, a jednakże charakteryzują one człowieka, objawiają rodzaj jego wychowania i usposobienia.

Jakże wielkie znaczenie mają drobnostki w pożyciu familijnem, które się przecież składa z tysiąca drobnych czynności, małych prac, maleńkich wzajemnych usług i uprzejmości! Niech żona sama przygotuje mężowi śniadanie, jedzenie, niech stół będzie czysto nakryty, niech postawi jakąś potrawę, którą szczególnie lubi, nie zmęczy się przy tem, a jak mocno zobowiąże męża, jak miłym mu uczyni dom i rodzinę! Z drugiej zaś strony guzik oderwany, a nie przyszyty, kołnierzyk nie dosyć dobrze wyprasowany, potrawa troszeczkę przesolona, już gotowe wprawić męża w zły humor, zatruć harmonię pożycia familijnego!

Niech więc kobieta zawczasu uczy się dokładności w rzeczach małych, niech nie lekceważy drobnostek! — bo nieraz o rzecz drobiazgową rozbiło się szczęście jej życia.

Cóż dopiero mówić o wychowaniu, które jak mozaika składa się z bardzo drobnych cząsteczek, spojonych ze sobą niewidzialnie i tworzących harmonijną całość!

Rano Mama dziecko umyła i opowiadała mu przytem o niegrzecznych dzieciach, które myć się nie chcą, potem zmówiła z nim pobożnie pacierz, potem przy śniadaniu upominała je, żeby nie wylewało mleka, nie grymasiło, że bułka niedobra. Przed pójściem do szkoły Mama jeszcze raz kazała przepowiedzieć lekcye, dała śniadanie i oczyściła szczotką ubranko! Ileż to drobnych czynności załatwiła dobra matka, w przeciągu jednej może godziny, a przytem może piastowała młodsze dziecko lub upominała starsze! Każda z tych małych posług wiele znaczy — z nich złożył się całokształt dobrego wychowania.

Jak krople wody, które spadają ustawicznie na kamień, ogładzają go i żłobią, tak i te drobiazgi wielokroć powtarzane, wyciskają na duszy młodocianej niezatarte znamię dobrych nawyknień, cnoty, szlachetności zasad.

Nie jest więcej zbytecznem to pytanie, które stawiamy wobec nieznanej nam osoby, z jakiej pochodzi rodziny? to znaczy: w jakiem środowisku upłynęło jej dziecińто i młodość, jakie wpływy i przykłady oddziaływały na jej duszę? bo z tych wiadomości możemy już pewne wyciągnąć wnioski o jej charakterze.

M. G.

Walka ze szczurami.

Od wielu już lat w Anglii zwrócono uwagę na coraz większe mnożenie się szczurów w portach tamtejszych, a przed trzema laty utworzono związek, mający na celu tępienie żarłocznego gryzonia. Z danych, zebranych przez związek, dowiedziano się, że szczury wyrządzają olbrzymie szkody, które w samym tylko Londynie oceniono na kilka milionów funtów szterlingów. Związek następnie starał się wykazać, że mnożenie się szczurów w portach angielskich sprowadzić może klęskę narodową w razie, gdyby do kraju zawleczoną została cholera lub dżuma. Jakoż omal nie przyszło do klęski. W roku ubiegłym na wiosnę, pewien bakteryolog zaalarmował ogół, iż w trupach wielu szczurów, znalezionych w dokach londyńskich, wykrył zarazki choleryczne. Alarm poskutkował. Zabrano się energicznie do tępienia szczurów w dokach zagrożonych. Tymczasem w połowie września, gdy już niebezpieczeństwo zdawało się być zażegnanem, w wiosce Treston, położonej w Hrabstwie (powiat) Suffolk, zmarła na jakąś nieznaną chorobę, po trzech dniach cierpień, kilkonastoletnia dziewczynka, Anna Goodall, a zaraz potem zmarli na tę samą chorobę jej matka, ojczym i jedna z sąsiadek. Lekarze na razie nie umieli określić, coby to była za choroba, lecz ponieważ wątpliwości nie ulegało, że była ona zaraźliwą, roztoczyli nadzór nad 12 ludźmi, którzy obsługiwali lub dotykali zmarłych, oraz nad całą wsią. Wkrótce też na polach wsi zaczęto znajdować trupy szczurów, zajecy i królików, a badanie tych padlin wykazało, iż zabiła je dżuma, ta straszliwa epidemia, która przed 250 laty wytępiła trzecią część ludności angielskiej, spustoszywszy przedtem Włochy i Francyę. Wówczas zwano ją „zarazą marsylską". Stało się tedy jewnem że w Suffolk, niemal u bram Londynu, grasuje straszna epidemia, zawleczona ze Wschodu przez szczury. Bo przecież badania Francuza Yersina i Japończyka Kitasato, którzy wykryli mikroba dżumy, dowiodły, że zaraza ta chciwie chwyta się szczurów i rozwija się w nich, a pchły, przenosząc się ze zdechłych gryzoniów na ludzi, przeszczepiają też im zarazę wyssaną ze szczurów. Przypomniano też sobie, że w przeciągu ostatnich lat pięciu wiele miast Afryki południowej i amerykańskie wybrzeża oceanu Spokojnego były zagrożone przez dżumę, ale klęsce zapobieżono organizując energiczne tępienie szczurów. W portach Kalifornii i Oregonu, piwnice i podziemia wszystkich domów i składów wylano betonem, gęste kraty zamykały przystęp do wylotów rynien i otworów kanałowych, nadto wszystkie miejsca podejrzane starannie dezinfekowano. W dzielnicach brudnych, zwłaszcza zamieszkanych przez Chińczyków, wiele domów spalono. Dzięki tym zarządzeniom, zaraza nie mogła się rozszerzyć.

W hrabstwie Suffolk tedy również energicznie zabrano się do zaprowadzena środków ochronnych. Przedewszystkiem zwrócono się do tępienia szczurów. Zawiązały się komisye, do których weszli lekarze, bakteryolodzy, aptekarze, urzędnicy, rolnicy — słowem werbowano wszystkich. Wielkie afisze wzywały ludność do pomocy władzom w tępieniu szczurów. Wszędzie zawiązywano „Kluby tępienia szczurów", których członkowie zobowiązywali się pod przysięgą „tępić szczury i myszy wszelkiemi sposoby i na każdem miejscu". W miastach i wsiach utworzono urzędy „naczelników łapaczy szczurów", z których każdy miał do rozporządzenia kilku podwładnych. Ustanowiono nagrodę dwóch halerzy za każdego zabitego szczura. Hutnicy i mączarze zawiesili roboty i wzięli się do polowania na szczury. Rozdawano darmo przeróżne pułapki i trutki.

Niepodobna ściśle obliczyć, ile wytępiono szczurów w miejscowości zarażonej, t. j. na półwyspie, utworzonym przez rzeczki Sturo i Orvell. Mnóstwo ich zginęło w podziemiach, których wyjścia zalano cementem; mnóstwo utopiono w tych dwóch rzekach. Z ilości nagród, udzielanych za schwytanie szczura oraz z ilości szczurów, które palono w piecach publicznych, wiadomo, że tępiono tam codziennie, średnio licząc, po 9 000 szczurów, a ponieważ walka trwała miesiąc, więc w jednej tej miejscowości zabito w tym czasie około 300 000 szczurów. Dalej — ponieważ tępienie szczurów prowadzono również w sąsiednich hrabstwach, bez przesady przeto można powiedzieć, że Anglia wtedy pozbyła się miliona szczurów.

Zdarzały się przytem charakterystyczne wypadki. Dowiedziano się, że Anna Goodall przed chorobą głaskała kota, a wiadomość ta skłoniła mieszkańców do wytępienia wszystkich kotów w okolicy, gdyż mogły być również zakażone. Jakoż istotnie, kot proboszcza wsi Hatten zdechł, udusiwszy szczura. Gdy dowiedziano się, że 13 łasic zdechło w Bromenswol po pożarciu królika — zaraz też zaczęto tępić króliki i łasice. Podejrzenia i obawy tak wzrosły, że nie chciano wcale kupować zwierzyny an drobu. To daje wyobrażenie o panice jaka panowała w południowej Anglii przez ostatnie miesiące ubiegłego roku.

W tej wojnie ze szczurami uciekano się do najrozmaitszych środków. W Ipswich pewien bakteryolog stosował środek, wynaleziony jednocześnie przez uczonego duńskiego Napmannna i przez d-ra Danysza z Instytutu Pasteura w Paryżu. Środek ten polegał na szczepieniu szczurom pewnego bakcyla, który rozwijał w nich chorobę śmiertelną, nieszkodliwą jednak dla ludzi ani też czepiającą się zwierząt domowych. Skutek był doskonały. Stosowano też w Ipswich elektryczność, a mianowicie: przeciągano druty u dołu ścian piwnicznych i składowych, o 5 centm. od ziemi, i kładziono na nie kawałki słoniny lub ciasta, zaprawione anyżem, którego zapach przywabia szczury. Druty były silnie naelektryzowane. Szczury tedy, wspinając się do przynęty, dotykały się drutu i padały spiorunowane. Sposób ten jest bardzo praktyczny do stosowania go w dokach i w składach okrętowych.

Anglia na razie zażegnała niebezpieczeństwo, lecz władze sanitarne wciąż czuwają jak najbaczniej i wciąż prowadzą tępienie gryzoniów, chociaż już nie tak gwałtownie.

Drukiem i nakładem „Prawdy" pod zarządem Józefa Jondry w Krakowie.